



Kochin... im bliżej byliśmy Kochinu tym intensywniej budziły się wspomnienia. To miasto w stanie Kerala zamieszkuje ledwie 600 tysięcy ludzi, więc mało jak na warunki indyjskie, ale ma bardzo bogatą historię, bo już w XII wieku było stolicą Królestwa Kochinu, od XIV wieku centrum handlu przyprawami, a od XVII stulecia strategicznym ośrodkiem portugalskiego imperium kolonialnego, potem przeszło w ręce Holendrów a wreszcie Brytyjczyków.

Kilka lat temu zobaczyłam to portowe miasto po raz pierwszy i wtedy dodało mi sił do dalszej wędrówki przez południowe Indie. Bo Kochin albo inaczej Kochi był i jest bardzo wyjątkowym miastem z wielu względów. Ma bogatą historię i jest swego rodzaju tygłem kulturowo-religijnym. Jak wiele innych miast Indii można powiedzieć. Owszem, ale to tu obok świątyń hinduistycznych, są też chrześcijańskie, jest synagoga i zapewne jakiś meczet...

Bardzo czekałam na powrót do Kochi, chcąc przekonać się czy dawny zachwyt tym miastem pozostanie niezmałony. Przyjechaliśmy późnym wieczorem, rzuciliśmy bagaże do pokoi i poszliśmy na kolację. Szliśmy, szliśmy i szliśmy... Knapki były już w większości pozamykane, ale Tytus, właściciel hotelu, w którym się zatrzymaliśmy, wiedział dokąd nas zaprowadzić. Przed knajpką i w środku kłębił się tłum głodnych facetów, na stołach nie było nawet przysłowiowej ceraty, menu wisiało nad głową kasjera i nie było zbyt długie. Danie wege było jedno – gobi masala. Trudno. Biorę. Inni wzięli ryż i jakieś mięso. Drżałam jakie to wszystko będzie, ale było wysmienite. Moje kalafiorki w pysznym sosiku delikatnie podsmażone i chrupiące. Mniam... Potem, czyli od rana dna następnego, było już tylko lepiej. Zwiedzaliśmy Kochin i jego kościoły – Bazylikę Santa Cruz, kościół świętego Franciszka, w którym niegdyś spoczęły szczątki Vasco da Gamy, wspomnianą wcześniej synagogę Pardesi, by dojść na nadbrzeże i popatrzeć na ocean i chińskie sieci, którymi miejscowi poławiają ryby i owoce morza. Wyciągnięte z sieci trafiają na pobliskie kramy in można gołym palcem pokazać wybrane do konsumpcji sztuki. Rybacy pokazali nam jakie wyciągają ciężkie sieci z wody, pooglądaliśmy stwory wystawione w lodzie lub w kubłach z wodą i...poszliśmy na lunch. Wieczorem mieliśmy w planach zjeść coś „tutejszego” i tak się stało – na talerzach podano nam kruchego lucjana o dziwnie rozdziawionej paszczy, wielkie krewety, ośmiorniczki i steka z tuńczyka. I frytki. A co! Ale do kolacji zwiedzaliśmy i załatwialiśmy – my opiekunowie – inne atrakcje dla grupy, na przykład bilety na spektakl kathakali.

No dobra, przyznam się... kiedy młodzież jadła lunch, starszyczna wyrwała się na 45minutowy masaż ayurwedyjski. Ayurveda to stara sztuka leczenia i masażu właśnie. Stawia na nogi nawet zgredów jak my... Moja masażystka, jak się okazało, miała na imię Sanya, 20 lat, jakieś metr czterdzieści wzrostu i ważyła na oko 39 kg. Ale jak tylko dobrała się do moich pleców, zrozumiałam, że lepiej z tym moczarem w sari nie zaczynać. Jej małe rączki miały siłę łap Pudziana. Przeżyłam. Jakoś... I na kathakali czułam się jak młody bóg, chrupanie w karku ustało. No i gut.

A samo kathakali to spektakl – taniec, albo raczej rodzaj pantomimy, którego początki sięgają XVII wieku. Wersja dla tubylców trwa siedem godzin, dla turystów – podróżników ledwie dwie. Na szczęście, bo ten rodzaj śpiewu – zawodzenia, dudnienia, gestów, przewracania oczami przez tancerzy/aktorów – umówmy się – nie jest dla nas do końca czytelny. Na szczęście widzowie dostają streszczenie wystawianych scen, które są



fragmentami Ramajany i Mahabharaty. Za pierwszym razem, kiedy widziałam przedstawienie, nasza grupa „geriatryczna”, w trakcie ucięła sobie smaczną drzemkę. Młodzież dzielnie wytrwała przytomna, być może z głodu i w nadziei na tę zamówioną w porcie kolację.

A następnego dnia po śniadaniu wsiedliśmy do autobusu i pojechaliśmy na wycieczkę na pola herbaciane i do ogrodu, w którym hodowane są takie rośliny jak kawa, pieprz i inne takie... Po drodze zatrzymywaliśmy się kilka razy, żeby popatrzeć na piękne krajobrazowo doliny, wodospady a wreszcie intensywnie zielone drzewka herbaty. Cudne. Poszliśmy też na mały trekking w Parku Narodowym Erivakulam, którego główną atrakcją okazały się kozice górskie, które po dwie – trzy spokojnie żerowały lub mijały turystów przyzwyczajone najwyraźniej do ich widoku. Do Kochinu wróciliśmy na kolację a następnego dnia rano, z założenia wcześnie rano, chcieliśmy pojechać w kierunku houseboatów. Wyjechaliśmy jednak później..., bo... lało. A taki monsunowy deszcz to nie rodzimy smętny kapuśniaczek, tylko potoki wody, lejące się z nieba. Ale w końcu ruszyliśmy. Luksus łodzi, na których mieliśmy spędzić popołudnie i noc wbił nas w pokład. Ale o tym potem...